

ALEKSANDRA SELIGA


• DUCH  GÓR •

KLĄTWA SIÓDMIEJ CÓRKI



ALEKSANDRA SELIGA

**KLĄTWA
SIÓDMEJ
CÓRKI**

• DUCH  GÓR •



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz

Redakcja: Adrian Kyc

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Myśliński_Photos, © kharchenkoirina,

© Yumeee / Stock.Adobe.com; najstarsze przedstawienie postaci
legendarnego Rūbezahla na mapie Śląska autorstwa Martina Helwiga

z 1561 roku / Commons.wikimedia.org

Wyklejka: © Lisl / Stock.Adobe.com

Grafiki wykorzystane w środku: © Farjana CF- 2969560,

© Phatharaporn / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2026 by Aleksandra Seliga

Copyright © 2026, Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-460-9

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Bliss



Rozdział 1



Wieczorem przyszli kolędnicy.

Jeden z nich od stóp do głów obłożony był wyschniętą, żółtą słomą i konopnymi sznurami, a na głowie sterczała mu spiczasta czapka, co upodabniało go do zbożowego krasnoludka. Kilku niosło wielkie zwierzęce łby zrobione z drewna, gliny, skór i futer, wetknięte na kije. Był tam włochaty łeb turonia o szeroko rozwartej czerwonej paszczy, wytrzeszczonych złowrogo oczach i zakręconych baranich rogach. Były też głowy koni, kóz i krów obłożone sklejonym, śmierdzącym futrem i wyliniałą, rudawą sierścią. Spod wykrzywionej brodatej maski Żyda rozległ się donośny śmiech, od którego chata wprost zatrzęsła się w posadach.

Bronka wcisnęła się w kąt między piecem a niskim, drewnianym stołem, na którym każdego dnia babka i matka zagniatąły ciasto na chleb. Pomiędzy jego zniszczonymi, chropowatymi

nózkami widziała stojącą w izbie i sieni grupę kolędników – pijanych, roześmianych rosnących chłopów, którzy co rusz wykrzykiwali jakieś sprośności, okraszone dla niepoznaki kolejnymi zwrotkami fałszowanej pieśni bożonarodzeniowej. Piec był gorący, jego zielone kafle parzyły, więc nie mogłaby zbyt długo tam wytrzymać – ale ze strachu nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Na podłodze pod piecem, tuż przy pomalowanej w kolorowe wzory ścianie, dostrzegła glinianą miseczkę wypełnioną do połowy okruszynami chleba. „Babusia ją pewno dla domowików zostawili...”, pomyślała Bronka i to nieco dodało jej otuchy. Podciągnęła poobijane chude kolana pod brodę i cichutko obserwowała, co dzieje się w izbie.

Jej starsze siostry wcale nie wydawały się wystraszone. Darły się na całe gardło razem z kolędnikami i dolewały wódki do wznoszonych w górę brudnych kieliszków. Celka pocierała dłonie o fartuch długim, posuwistym ruchem, zaczynając od piersi, przez brzuch, a kończąc na udach. Bronka miała wrażenie, że sam turoń pożera siostrę wzrokiem – wystawiał ten swój długi, obleśny czerwony jęzor w stronę jej pełnych piersi, na których pozostałości mąki przybrały kształt dłoni po tym, jak Celka wycierała się nimi w fartuch. Antonina, stateczniejsza i cichsza, klepała się po wydętym przez ciążę brzuchu i wciskała ciastka w kształcie gwiazdek, zwane szczodrakami, pod maskę byka, prosto do ust jednego z kolędników, zapewne swojego męża, Jędrzeja.

– A, tutaj się schowała nasza mała Broneczka! – wrzasnął nagle jeden z mężczyzn, gruby, czerwony, o przylepionych do czoła włosach koloru słomy. Nie bez trudu schylił się, lekko zatoczył, przytrzymał purpurową ręką blatu stołu i zajrzał

w ką, gdzie kuciała dziewczynka. – Chodźże do nas, córuchna, chodźże! Zaśpiewaj z nami! Poowitajmy Maaaleńkiego...

– Jam nie twoja córuchna – wycedziła do niego złowrogo, ale tak cicho, że chyba jeno ten ukryty za piecem domowik usłyszał.

– Ostawcie Bronkę, Henryku, toż ona się boi! – Roześmiana Celka odciągnęła go na drugą stronę izby.

Tymczasem kołędnicy porwali dziewczęta do tańca i stukając zaśnieżonymi butami, wirowali z nimi, obijali się o łopaty do chleba, garnki i rozmaite sprzęty, aż powpadali roześmiani do izby paradnej. Tego już było dla babusi za wiele, więc podniosła się z jękiem z wiklinowego bujanego fotela i pogroziła gromadzie sękatym paluchem.

– Won mi stąd, ale już! Na podwórzu dokazywać, na gościńcu, a nie w izbie, gdzie gospodarskie sprzęty, gdzie święty ką, gdzie święte obrazy! – Wyrzucała śmierzdzących od wódki tancerzy zataczających się ze śmiechem po wiejskiej chacie.

Przez szeroko otwarte drzwi wpadła szalejąca śnieżycą, jedna z tych, co to pogrążają ostatnie dni starego roku w burach, mglistych szarościach, a noce w wirującej bieli. W taką pogodę wielu wracających z karczmy pijaków zamarzało na śmierć. Sporo wozów przewracało się na oblodzonych stromych traktach, by ich właściciele nigdy już nie zobaczyli swych żon i dzieci. W taką pogodę Duch Gór porывał mieszkańców Karkonoszy do tańca, a gdy wypuszczał ich z objęć, nigdy już nie byli tacy sami jak przedtem.

Śnieg natychmiast wdarł się do sieni i mimo gorącego pieca Bronka poczuła jego lodowaty podmuch. Kołędnikom jednak wcale to nie przeszkadzało. Rozgrzani wódką, tańcowali

jeszcze przez jakiś czas na podwórzu Rzepiórów. Wreszcie odeszli w stronę kolejnych chat, a Celka, Antonina, Kazia i Tekla wpadły z powrotem do domu i z trudem zatrzasnęły drzwi, pchane silnymi podmuchami wiatru. Bronce przez chwilę wydawało się, że wirujące srebrno-błękitne płatki śniegu przybrały ludzki kształt, kiedy jednak mrugnęła, opadły bezwładnie na podłogę, zdeptane przez siostry.

– Powariowały! – wykrzyknęła matka, uderzając Celkę po uchu. – W taki mróz wyłazić na tańce! Chłopów zobaczyła i już krew uderza do głowy!

Antonina podeszła do kąta, w którym kuliła się Bronka, i nachyliła do niej z ciepłym, łagodnym uśmiechem.

– Chodź, ladaco, toć poszli. Możesz już wyjść.

Dziewczynka zawahała się, ale odgłosy kolędników dobiegały gdzieś z oddali, zapewne wchodzili już do innych chałup, na dobre opuściwszy podwórze Rzepiórów. Wypetźła więc powoli spod oprószonego mąką stołu.

– Kiej se poszli – szepnęła – to może babunia by bajkę opowiedziała?

Antonina przytaknęła. Wkrótce wszystkie zamieszkujące chatę kobiety zebrały się przy gorącym piecu. Matka zamknęła paradną izbę, która po przyjęciu kolędników na nowo pogrążyła się w uroczystej ciszy i ciemności, poprawiła przewrócone w czasie tańca wiadra i łopaty, pęki ziół i gliniane dzbany.

– Powieś czosnek przy oknie, Kaziula – odezwała się babusia do średniej wnuczki, krótko ostrzyżonej, brzydkiej, ale roześmianej Kazimiery, o twarzy zniszczonej po ospie, którą przechodziły pewnej jesieni wszystkie dzieci we wsi.

– Po co? – odparowała dziewczynka, porywając jeden ze szczodraków, rumianych, wypieczonych i leżących w dużym, wiklinowym koszyku na ławie.

– W taką zawieję upiory chadzają po świecie.

– To babusia się boi upiorów? – spytała Kazia, ale posłusznie urwała pęk czosnku spomiędzy rozmaitych zasuszonych ziół i warzyw służących zimową porą za przyprawy do zup i sosów, a często i za lekarstwa. Czosnek był już pomarszczony, zakurzony i poszarzały. Gdy niosła go na okienny parapet, kruszyły się z niego cieniutkie, łamliwe łuski. – Przecież babusia w zgodzie z diabłami żyje!

– Każka! – warknęła Antonina. – Miesisz tym jęzorem kiej krowa na pastwisku. Zamknij gębę, zanim kto podsłucha i pastorom doniesie.

– Ty tak mówisz, boś poszła za Niemca – włączyła się do rozmowy Celina. – Zamiast za naszego.

– Jaki tam z niego Niemiec? Jędrzej? – obruszyła się Antonina i chociaż zawsze zachowywała spokój, teraz wydawała się dotknięta.

– Jędrzej – prychnęła Celina. – Andreas, nie Jędrzej!

Bronka niewiele z tego rozumiała. Babka chyba zauważyła zmieszanie na jej siedmioletniej buzi, bo zawołała ją do siebie na kolana.

– Chodź, kochana – powiedziała z ciepłym uśmiechem. – A ty – rzuciła do układającej czosnek na oknie Kazi – zapamiętaj sobie, że Niemce nie zawsze tutaj byli i że onegdaj nasi przodkowie oddawali tu cześć Starym Bogom Słowian. A nasze babki i dziadowie szukali na górskich stokach ziół sprzedawanych na cały świat.

– Dalej niż za Krummhübel?* – zapytała Kazia, siadając u stóp babuni, blisko pieca.

– Oho-ho, dużo dalej!

– Ale na pewno nie dalej niż za Hiršberk**. – Dziewczynka pokręciła głową i podrapała się po policzku pełnym dziobatych śladów po ospie.

– Świat jest dużo większy, niż wam się zdaje. – Babunia się zaśmiała. – Tak czy siak, czosnek jest potrzebny, bo głupie Niemce nie umieją dobrze się zabezpieczać przed upiorami. One nic nie wiedzą. Ale ja wiem i wszystkiego was nauczę, moje duszki. I zapamiętaj to jeszcze, że żadnych diabłów, którymi pastor okoliczny lud straszy, nie ma. A przynajmniej nie takich piekielników, jak ich odmalowuje.

– Babusia, nie zaczynaj... – weszła jej w słowo córka, nerwowo wyglądając za okno, czy kto nie podsłuchuje.

– To upiory są, a diabłów nie ma? – spytała Bronka, głaszcząc babcie po bardzo pomarszczonej dłoni pełnej żółtych i brązowych plam.

– Pastor mówi, że Duch Gór to diabeł – powiedziała Antonina, a matka pokiwała głową.

– O! – zawtórowała jej. Przechadzała się nerwowo po chacie, krzątała, sprzątała, jakby nie wiedziała, w co ręce włożyć. – O widzisz. A ty takie brednie wnuczkom opowiadasz, matula. Takie grzeszne brednie.

Babunia chyba się zdenerwowała, bo ręce zaczęły jej się trząść, szczeka latała pod chustą, a oczy jakby rozbłyły w ciemnościach, szkliste, choć przy tym zamglone.

* Krummhübel – obecnie Karpacz.

** Hiršberk – obecnie Jelenia Góra.

– Tekla! – warknęła. – Tyś siedem córek urodziła, a wszystko już zapomniała? Czy ino głupią udajesz? Zaraz może się zniemczysz? Tyle dobrych rodzin się już zniemczyło, ale nie Rzepiórowie, ja nie pozwolę! Będę mówić twoim córkom prawdę, a potem, jak mnie do grobu wsadzicie, to rób, co chcesz. Dalej, rób, co chcesz. Ale póki żyję, prawdę ino mówię!

Matka westchnęła zrezygnowana. Wzięła lnianą ściereczkę i zaczęła zsypywać ślady mąki z piersi Cecylii.

– To mów – pozwoliła cicho. – A wy słuchajcie i zagniatajcie ciasto, ino w milczeniu, bo się nie uda i opadnie, jak się która przy robocie odezwie.

Każda z córek urwała potężny kawał chlebowego ciasta i zagniała go na ławie. Nawet Bronka zerwała się z kolan babki, by pomagać w robocie. Jak każda siedmiolatka od dawna miała już mnóstwo domowych obowiązków.

Babka zaczęła opowiadać:

– Dawno, dawno temu, kiedy dwaj Bogowie stwarzali świat, powstały też nasze góry, Karkonosze. Bogowie wyznaczyli potężnego strażnika, którego zadaniem było pilnowanie równowagi między światem ludzi a naturą. Wiedzieli bowiem, że ludzie są zachłanni, że bogactwa ukryte w górach, w samym wnętrzu gór, będą ściągać tu niezliczone ich rzesze. Dlatego Duch Gór i Matula Ziemia mieli im do zaoferowania inne dary: magiczne zioła rosnące na stokach, krystalicznie czystą wodę, rozległe pastwiska dla owiec i kóz, z których bieluchnego mleka można zrobić smaczny, pożywny ser. Duch chciał, by mieszkańcy Karkonoszy szli drogą równowagi. I przez długi czas tak było. Nasza przodkini, Sława Rzepiórzyna, była słynną uzdrowicielką. Mówili na nią: laborantka.

Zbierała na stokach zioła i wyrabiała z nich lekarstwa dla wielu dobrych ludzi. Ona i Duch zawarli sojusz... a potem przyszły wojny, pożoga i krew. Wygnano większość Polaków z tych ziem, ale Rzepiórowie zostali. Duch nie pozwoliłby ich wygnać. Żli, chciwi ludzie zabronili zbierania ziół i leczenia, chcieli jeno kopalni, kopalni, kopalni... A Ducha nazwali diabłem, demonem, *Diabolus*. Głupie Niemce rysują go z rogami i kopytami, jakby nie rozumieli, że on zawsze pokazywał się ludziom jako jelenź. I nie tylko! Wielu widziało go pod postacią wilka, dzika, czarnego ptaka, a nawet czarodzieja z długą, siwą brodą...

– Co to jest sojusz, babusiu? – wypaliła nagle Bronka. Babcia mówiła zagadkowo, używała trudnych słów, których dziewczynka nie rozumiała. Teofila Rzepiórowa była wykształconą kobietą. Kiedyś nawet mieszkała podobno we dworze.

– O sojuszu z Duchem Gór, matula, to ty wnuczkom nie gadaj. Daj pokój – wtrąciła się szybko Tekla.

– Eee tam – dodała Celina. – Przecie babusia tyle razy nam opowiadała te stare bajania, że my już wszystko wiemy! Bronka wywaliła jęzor w stronę starszej siostry.

– Może ty słyszałaś. Bo ja nie. I wiedzieć chcę.

– Słyszała, słyszała, świętek, piątek czy niedziela... – Celina wywróciła oczami. Podeszła do drewnianej skrzyni i otworzyła ją, po czym wyjęła butelkę wódki i zaczęła nalewać do kieliszka, zerkając, czy matka nie patrzy, zajęta ugniataniem ciasta.

– No i masz. Miały milczeć – sarkała Tekla pod nosem. Pierwsze bochenki lądowały już na desce, obsypane ziarnem siemienia i przykryte ściereczkami na czas wyrastania.

– Sojusz, dziecinko, to taka umowa między dwiema stronami. Taki pakt.

– Pakt, o właśnie, pakt! Pakt czarownic z diabłem! – wtrąciła Tekla.

Babunia puściła tę uwagę mimo uszu i kontynuowała:

– Duch Gór przysiągł strzec Rzepiórów przed dziejowymi zawieruchami w zamian za cześć, jaką oddawały mu kobiety przez wszystkie pokolenia. I nie tylko.

– Dlatego zostawiasz mu dary przy wodospadzie? – zapytała Bronka. Trącała paluszkami o koronkową chustkę na pomarszczonej twarzy babuni. Materiał był stary, pożółkły, choć nawet teraz, po latach, mógł jeszcze budzić podziw miasternym wykonaniem.

– Dary mu zostawiam, bo chcę pokazać, że o nim pamiętam. O naszym Karkonoszu. Jak dostanie dobrego chleba i cosik miodu, odpląca się łągodną pogodą przy żniwach. Bywa i rozgniewany, jak mu Niemce huczą, bucą i stukają w kopalniach, o! Ale to jeszcze nie wszystko. My, dziecinko, Rzepiórowie, winni tu pilnować równowagi... I tak było przez siła czasu. Cóż z tego, skoro teraz przyszły wielkie zmiany? Kto jeszcze przy świętym źródle Łaby składa czarne koguty w ofierze, jako z dawna czyniono? Kto pamięta, żeby nie polować na zwierzynę tam... – wskazała ręką okno, za którym białą ogromne sosny pokryte śniegiem – wysoko w górach, gdzie jego tereny? Nad każdym zajączkiem ubitym przez Niemca, Czecha alboć nawet i naszego on boleje, nad każdym jeleniem ustrzelonym on płacze, a jego łzy spływają powodziami w naszą dolinkę. Zamiast oddawać, ludzie jeno biorą, biorą i biorą! Mało samych gór nie rozpruli jak

starej kapoty, żeby do cna ograbić z jego skarbów! Dyć nie dziwota, że potem wściekły chodzi, że zsyła zawieje, lawiny, gradobicia. Ale drzewiej...

– Skończże już z tym, matula. – Tekla wyciągnęła rękę do Bronki i pomogła jej zsunąć się z babcinych kolan. – Chodź, dziecko. Babce spać pozwólmy. Czas godowy, jutro trza w gości do Jagniątków iść, do świekry naszej Antoniny.

– Zawsze mnie jeno spać odsyłasz jak małe dziecko, miast pozwolić wytłumaczyć twoim córkom. – Babunia poirytowana machnęła ręką, ale zaraz podniosła się posłusznie z wiklinowego fotela i podreptała do drugiego kąta, w którym leżał siennik przykryty puchową pierzyną.

– Ty też idź spać – dodała matka, wycierając twarz Bronki fartuchem.

Mała ściągnęła spódnicę i zsunęła ze stóp drewniane chodaki, po czym wskoczyła do łóżka babuni. Nigdy nie miała własnego. Jako niemowlę spała w kołysce obok łóżka matuli, a potem, gdy odrosła od piersi, babcia wzięła ją i Kazię do siebie. Siennik był wygodny, ale mały. Czasem spały w nogach babki, a czasem we trzy kuliły się do siebie jak kury poupychane na grzędach. W niektóre noce, kiedy babunia głośno chrapała, Bronka otulała się kocem i kładła na ławie albo pod piecem, wprost na klepisku. Gdzieś tam, we dworach bogatych Niemców, ponoć nawet służba sypiała lepiej. Każda dziewczka miała swój pokoik, łóżeczko, niekiedy i toaletkę. Ale cóż z tego? Babunia zawsze powtarzała, że lepiej znosić biedę i niewygody, ale być przy tym na swoim, niż iść robić na innych, usługiwać im, sprzątać, nocnik opróżniać i pościel słać. Niejedna dziewczyna ze wsi wracała z takiej służby splakana

i na kolanach prosiła rodziców o przyjęcie jej z powrotem do chaty. Ale tu przecież robota też była ciężka, o, ciężka jak diabli! Od małego trzeba było wydzierać tej nieprzychylną górską ziemi choć trochę jadała, skrawek po skrawku. Im wyżej w góry, tym trudniej było żyć ludziom, a łatwiej dzikiej zwierzynie, wilkom, niedźwiedziom i jeleniom. Ludzie gór musieli więc być twardzi. Umieli walczyć o swoje. Potrafiliby całymi godzinami siać i orać stromy stok, na który trzeba było z mozołem się wspinać, ocierając pot z twarzy. Potrafiliby przemieszczać się przez zaśnieżone doliny, nosząc rakiety obwiązane rzemieniami albo używając sań ciągniętych przez psy. Znali tajne przejścia i wąskie ścieżki ukryte w leśnym gąszczu. Tak, ludzie gór, z których wywodziła się rodzina Bronki, rozumieli Karkonosze i ich kapryśnego władcę – niezależnie od tego, co biadoliła babcia, kiedy narzekała na Niemców, których z jakiegoś powodu tak strasznie nie znosiła. Według Bronki każdy, kto mieszkał w Górach Olbrzymich – Niemiec, Czech czy Polak – miał kiedyś w swoim życiu do czynienia z Karkonoszem. Życie w górach było trudniejsze niż tam, daleko za Hiršberk, gdzie mieszkali mdli, bladzi ludzie równin, których pola były płaskie niczym stoły do zagniatania ciasta. Cóż oni mogli wiedzieć o ostrych, śnieżnych zimach, o wiosennych roztopach zalewających trakty i ścieżki, o lawinach, które w mgnieniu oka mogły pogrzebać żywcem kilkadziesiąt osób?

„Może Antośka ma rację – myślała sennie Bronka, gdy jej powieki stopniowo opadały, a gliniany piec, w którym rosły bochny chleba, rozmywał się przed oczami. – Może trzeba stąd wyjechać, uciec, złapać jakiegoś Ślązaka i wyprowadzić się

z dala od tego przeklętego miejsca? Ale co wtedy stałoby się z babunią?”

Zasnęła. Wydawało jej się, że zbiega w dół stromą, wąską kamienistą ścieżyną między ogromnymi drzewami. Tu i tam zza omszałych pni wyłaniały się głazy o niepokojących kształtach. Wszystko wokół falowało, droga wiła się jak wąż, a niebo miało kolor purpury, jak podczas zachodu słońca oglądanego ze szczytu Schneekoppe*, królowej Karkonoszy. Dotarła do wodospadu. Na obmywanych przez srebrną wodę skałach widniały świetliste symbole żarzące się w czerwonym krajobrazie. Bronka podeszła bliżej, skołowana i drżąca. Kwiaty, tak wysokie, że wyrastały ponad jej głowę, wiły się wokół wodospadu, a ich łodygi spletały ze spływającą wodą w jedną mięsistą bryłę.

– Obmyj się – usłyszała niski, czysty i donośny głos, który dobiegał jak gdyby z wnętrza góry. Brzmiał trochę jak grzmot, a trochę jak szum padającej wody.

Posłusznie weszła do strumienia, ale ze zdziwieniem zauważyła, że nie czuje żadnego zimna. Woda była przyjemna i orzeźwiająca, delikatnie pieściła jej stopy i łydki. Podeszła bliżej kaskady wytryskującej z omszałych skał. Po chwili wahania weszła wprost pod wodospad, który obmył całe jej ciało, od czubka głowy aż po palce stóp. Nagle poczuła, że staje się bezcielesna, lekka jak piórko, wiotka i przezroczysta. Uniosła się wysoko ponad szczyty gór, dryfując w stalowoszarych chmurach, minęła Reifträger** i ogromne skały zwane przez okoliczną ludność Końskimi Łbami, położone w dolinie

* Schneekoppe – obecnie Śnieżka.

** Reifträger – obecnie Szrenica.

wioski i miasteczka, pastwiska z drewnianymi budami, przeleciała nad Łabskim Szczytem niczym bezcielesna wietrzyca ciskana to w jedną, to w drugą stronę, aż wreszcie opadła delikatnie. Zaskoczona, rozejrzała się dookoła. Nie znała tej części Karkonoszy, mogłaby przysiąc, że nigdy wcześniej tu nie była, nawet wtedy, gdy wędrowały z Każką po stokach, by pasać bydło, albo gdy jednego lata wybrały się z matką w strasznie daleką podróż na wesele krewnej.

Na płaskiej, rozległej polanie wytryskiwało źródelko. Jego krystalicznie czysta woda wypływała magicznie wprost spod ziemi jak z jakiejś czarodziejskiej laski, której zasoby nigdy się nie kończą. Bronka znów miała ręce i nogi, tak jej się przynajmniej zdawało, bo palce wciąż falowały, wydłużały się i skracały, a gdy stawiała kroki, wylatywała na chwilę w powietrze. Niebo było błękitne, promienie słońca przyjemnie muskały policzki i plecy. Podeszła do źródelka i zauważyła, że spływa ono w dół po górskim stoku, wijąc się w głębokim korycie, które im bardziej opadało w stronę rozległej, zielonej doliny położonej u stóp Łabskiego Szczytu, tym bardziej się powiększało, stopniowo zmieniając źródelko w prawdziwą rzekę, Łabę.

Usłyszała ruch za plecami, skuliła się i wskoczyła za jakiś głaz. Wkrótce nadeszła procesja złożona z ubranych w białe szaty kobiet i mężczyzn. Jeden z nich, o długich, siwych włosach i brodzie, stanął tuż nad wytryskującym z ziemi źródelkiem, wznosił ręce nad głowę i wykrzyknął:

– O Świętowicie, Panie Gór, który wśród szczytów wiecznych czuwasz, który nad Łabą w blasku słońca władasz, wysłuchaj naszej modlitwy! Świętowicie, ty, któryś na najwyższych

szczytach siłę swoją okazywał, gdzie niebo styka się z ziemią, a wiatr niesie echo twojego imienia, spójrz łaskawie na nas, którzy stajemy w cieniu twych gór, składając ci ofiarę!

Po tych słowach do kapłana podeszła jakaś kobieta, która mocno trzymała wyrrywającego się czarnego koguta. Przekazała mu ptaka, a on wprawnym ruchem wbił w niego sztylet. Trysnęła krew, której czerwień zlała się z krystaliczną wodą górskiego strumienia.

Bronka pisnęła i wystraszona zakryła usta dłonią.

– Nie słyszą cię – rozległo się nagle gdzieś za jej plecami. Odwróciła się i zobaczyła wysokiego mężczyznę o długich, rudych włosach i jelenich rogach wyrastających wprost z głowy. – Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy – uspokoił ją, gdy już chciała zerwać się i uciekać po stromym zboczu. – Oni też nie – dodał. – Nie widzą cię ani nie słyszą. Byli tutaj dawno temu, przed wiekami. W twoim świecie minęło już tysiąc lat.

Zdziwiona i wystraszona, znów spojrzała na grupę dziwnie poubieranych ludzi.

– Błagamy cię, Świętowicie – kontynuował kapłan. – Byś dał nam moc przeciw wszelkim burzom, które nadciągają z mroków ziemi, by twoja opieka spoczywała na nas, jak mgła poranna spoczywa na świętych kamieniach twego ołtarza. Ty, który władasz wiatrem, deszczem i śniegiem, błogosław nasze ziemie obfitością! Bądź łaskawy dla naszego plemienia! Niech święte wody rzeki Łaby użyźniają nasze pola i chronią nas od letniego skwaru!

– Kim oni są? – odważyła się zapytać Bronka.

Przedziwny korowód wyznawców Świętowita klęczał teraz przy źródle, dotykając ziemi czołami. Podniosły, uroczysty

nastrój udzielił się też dziewczynce, która czuła, jak łyzy napływają jej do oczu. Jedna z kobiet podniosła głowę i wpatrywała się z zachwytem w górski krajobraz. Wydawała się znajoma. W jej twarzy było coś...

– To twoi przodkowie. – Ogromny mężczyzna o rogach jelenia się uśmiechnął. – Założyciele klanu Rzepiórów. Onegdaj mieszkańcy tych ziem wiedzieli, komu oddają cześć. Wiedzieli, kto naprawdę włada tymi górami. Rozumieli. Teraz wszystko się zmieniło.

– Kim jesteś? – spytała Bronka.

Uśmiechnął się ponownie i wstał, prezentując swoje jelenie rogi i kopyta.

– Przecież wiesz – szepnął i z całej siły tupnął w ziemię.

Góra zatrzęsała się w posadach, potężna lawina oderwanych skał i głazów potoczyła się ze szczytu, a Bronka wystrześliła w chmury niczym z procy, znów tracąc cielesne kształty. Sekundę później była pod wodospadem, który chłodził jej głowę silnym strumieniem.


– Udaj się w to miejsce – usłyszała jeszcze głos szemrzący w wodzie. – To twoje przeznaczenie.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)